

Telegrafistka

Autor: Zygmunt Skibicki
15.12.2008.

Nie dało się stłumić mendolenia nieczułego na nic ręcznego zegarka. Nawet wsadzenie ręki pod poduszkę nie dało rezultatu. Tych kilka tonów psuło harmonię zgodnego posapywania współspaczy. Chyba tylko obawa, że za chwilę obudzą się inni i będą mieli słuszne pretensje, zmusiła mnie do wykonania skomplikowanej procedury wyłączenia pracowitego brzęczyka. Obudziłem Marka, chwyciłem worek toaletowy i cicho wyniosłem się z sypialni. Mroczny korytarz Murowańca zasłany był płataniną rozbebeszonych plecaków i sapiących śpiworów. „Gleba” jeszcze spała. Nie było tu poręcznych desek jak w Pięciu Stawach i nie dało się zapajakować ponad nimi. Po kilku udanych krokach zawsze się kogoś nadepnęło.

Przepraszam, dzień dobry, już szósta – ten tekst zawsze gasił awanturę w zarodku. Zaraz za Markiem do łazienki weszło kilku facetów. Z damskiej strony też już dochodziły mokre odgłosy. Kiedy kwadrans później wychodziłem z workiem śniadaniowym przed schronisko, gleba zwinęła się niemal zupełnie. Pogoda zapowiadała się wspaniale. W zaprzyjaźnionym wykuszu okna butan szybko nagrzewał menażkę. Herbata już naciągała, gdy Marek wyniósł plecaczki i buty.

Parę minut przed siódmą szliśmy już wśród kosówek wolno wznoszącej się Hali Gąsienicowej. Po kilku cięższych dniach należał się nam jeden spacerowy. Świnica od Zachodu – to był właśnie ten pomysł na spacer. Wiele razy wchodziliśmy na nią od Zawratu po wspaniałych choć okutych zerwach, ale zwykle na samym szczycie siedziały już tłumy wywiezione kolejką kasprową. Tym razem chcieliśmy ich uprzędzić. Nie spieszyliśmy się jednak.

Z postoju przy wejściu w Kotlinkę Marek dostrzegł kogoś na przełęczy, ale była to jedna osoba, może dwie z pewnością jednak nie tramwaj, bo ten byłoby słychać.

Sierpniowe wczesne ranki mają w Tatrach wiele uroku. Jest chłodno, ale niezbyt zimno. Rzadko kiedy pogoda sprawia psikusy, choć popołudnia bywają zaskakująco kapryśne. Poza tym jest naprawdę pusto. Słońce wschodzi tuż po czwartej i co najmniej do dziewiątej tłumów na szlakach nie widać. Na szczęście mało ludzi wie, że około piątej rano można koło Zielonego Stawu spotkać świstaka.

Nawet w najbardziej upalne dni korki na łańcuchach zaczynają się około jedenastej. Te siedem godzin wystarczy na większość tras. Nosząc ze sobą prowiant i termos można około południa zaszyć się na kilka godzin kilkanaście metrów od ścieżki i wrócić do schroniska po zejściu „stonk” i w doliny. Resztki rzeźkiego porannego powietrza zdmuchnął gorący południowy wiatr na przełęczy. Zionęło jak z pieca. Szlak spokojnie wspinał się po strzelistych plecach Świnicy. Szliśmy bardzo wolno nie chcąc się spocić, a jednak na podszczytowych łańcuchach dogoniliśmy dwóch facetów i dziewczynę.

Widok był nieco zabawny, bo faceci wychylali się z góry i pokrzykiwali na dziewczynę. Ona sama tkwiła w środku łańcucha i jakby nie miała sił na dalsze wejście. Stopy postawiła w jednym miejscu, ręce kurczowo wczepiła w łańcuch i będąc całkowicie wyprostowaną całe ciało utrzymywała niemal w poziomie. Oczywiście na wykonanie nawet małego kroku nie miała najmniejszych szans. W dodatku cały ten układ miał tylko dwa punkty podparcia i bujał się niemal bez ograniczeń. Miejsce było bardzo łatwe i kiwająca się na luźnym odcinku łańcucha dziewczyna wyglądała groteskowo. Przechodząc obok uważałem żeby nie dotknąć tego łańcucha. Diabli wiedza co robi taka desperado.

-Więcej odwagi w kroku proszę pani – wyrwało mi się i przelotnie spojrzałem w jej oczy. Był w nich wyłącznie bezgraniczny strach, a zbielełe z wysiłku palce na żelazie potwierdziły powagę sytuacji. Marek też to zauważył i wyraźnie czekał na moją reakcję. Faceci na górze pokładali się ze śmiechu. Cofnąłem się, chwyciłem dziewczynę mocno za ramiona, tak że stanęła w pozycji pionowej, ale o puszczeniu łańcucha nie chciała nawet słyszeć. Trwało to dłuższą chwilę zanim odważyła się wykonać pierwszy krok, ale natychmiast po nim znów złapała za żelastwo.

Było to coraz mniej śmiesznie, a tak naprawdę to wyglądało z minuty na minutę poważniej. Czułem się trochę głupio po pierwszej obcesowej odzywce, więc ponawiałem próby i pokazywałem jak należy chodzić w lekkim pionie. Koniecznie chciała żeby podać jej rękę, ale tego odmówiłem stanowczo. Marek też wytrwale pokazywał miejsca na głazach dobre na chwyt, ale ręki nie podawał.

Te ostatnie kilkadziesiąt metrów wchodziliśmy dobre pół godziny. Nawet trochę żałowałem, że nie namówiliśmy jej na natychmiastowe zejście w dół. Nie byłoby to wcale pozbawione sensu, bo miejsce gdzie się spotkaliśmy było dosłownie na samym początku łańcuchów.

Weszliśmy jednak na szczyt. Pościelowo blada dziewczyna podziękowała nam i cicho usiadła obok. Szczyt jest mały, ale zajęła takie miejsce, aby być maksymalnie sama. Głowę położyła na kolanach i nakryła ją rękoma. Faceci poczuli się chyba nieco za nią odpowiedzialni, bo przepraszali, że ich znajoma pierwszy raz w górach.

Marek się zachnął, ale dał spokój. Też z trudem powstrzymywałem jadowite słowa pod ich adresem. Mieli obydwa koło trzydziestki, więc tak pośrodku między mną a Markiem. Nie powinni się obrazić za słowa

pouczenia, ale niejedno już widziałem i własne opinie od dawna wygłaszałem wyłącznie pod adresem chętnych słuchaczy.

Nie mieściło mi się w głowie, że można było tak jak oni potraktować kogokolwiek, a nowicjusza w górach szczególnie. Zresztą nieco już znoszone, ale solidne górskie buty i zgrabny, ale nie bajerancki plecak wskazywały na pewne doświadczenia dziewczyny w turystyce. Być może nieco biegała po Beskidach, ale tam takich pionów nie mogła spotkać. Podobnie jak wielu innych zaszokowała ją pewnie konieczność chwytania się skały. Zresztą, co to mnie...

Siedząc na Świnicy zwykle mam uczucie bacy w środku własnego stada. Po tylu latach chodzenia po Tatrach prawie wszystkie szczyty aż po horyzont kiedyś odwiedziłem. Mogę więc powiedzieć – wszystko co widzę jest także moje. Znam z imienia każdą owieczkę w tym stadzie.

W chwilę później wstali i całą trójką zabrali się do zejścia. Dziewczyna wykonała na pożegnanie jakiś niezgrabny gest, który w zamyśle z pewnością miał być przyjazny. Pomachaliśmy im bez słów. Dałbym głowę, że będą schodzili tą samą drogą, którą weszli. Sam nie wiem, skąd wzięłem to przeświadczenie, ale to było wręcz oczywiste. Droga w kierunku Zawratu była po prostu dla tej dziewczyny dużo za trudna. Siedzieliśmy na szczycie ponad godzinę. Nigdy wcześniej nie byłem na Świnicy przy tak wspaniałej pogodzie w takim małym towarzystwie. Wspólnie zaliczyliśmy więc wzajemne duże repetytorium z topografii Tatr. Marek właśnie miał zdawać egzamin po kursie taternickim. Dopiero większy tramwaj idący od Liliowego skłonił nas do zejścia. Marek poszedł pierwszy.

Szlak do Zawratu jest dość skomplikowany, więc wymaga uwagi i skupienia. Poza tym w większości idzie się tyłem, twarzą do skały. Żeby coś zobaczyć trzeba się koniecznie zatrzymać. Zamurowało mnie więc zupełnie, gdy z odległości kilku metrów, tuż pod ciągiem pierwszych łańcuchów zobaczyłem Marka i naszą znajomą ze Świnicy. Trochę siedziała, nieco leżała wreszcie wisiła wczepiona w skały. Oparta na dwóch rękach i jednej nodze, drugą bezskutecznie szukała oparcia w powietrzu. Najdziwniejsze, że była twarzą zwrócona do ekspozycji – w tym miejscu akurat mocnej. Marek niewiele mógł sam zrobić więc postawił swoją nogę w jej kroku tak, że praktycznie siedziała okrakiem na jego bucie. Miejsce było wyjątkowo nieprzyjemne. Każdy jej gwałtowny ruch mógł obydwójce pociągnąć w przepaść. Druga noga Marka też nie miała pewnego oparcia.

Dziewczyna trzęsła się na całym ciele. Drżały obydwie ręce i oparta o skałę noga. Całym ciałem wstrząsały jakby fale drgawek o zmiennej amplitudzie i częstotliwości. Wiedziałem – jeszcze parę chwil i całkiem siądzie jej psycha, stanie się bezwolna i puści chwytty. Sam wiele razy – telegrafowałem – z wyczerpania i napięcia mięśni. To wstrętne zjawisko zawsze napawało mnie strachem, że mogę go nie opanować i polecę. Marek pochylał się nad dziewczyną próbując ją uspokoić.

Na wypadek letnich płatów śniegu nosimy z Markiem zawsze krótką linę w plecaku, szerokie pętle związane w pasie i mocne na nich karabinki. Wpiąłem się więc natychmiast w łańcuch i mając wolne ręce wyciągnąłem dziewczynę spod Marka do góry na maleńką płasienkę.

Dopiero wtedy usłyszałem jej towarzyszy pokrzykujących coś z dołu. Marek blady z emocji, bo pierwszy raz brał udział w takiej akcji, nie wytrzymał i walnął z góry taką wiązką, jakiej nie powstydziliby się żaden podmiejski żul. Nawet nie spojrzał w ich kierunku. Było oczywistym, że dalej my będziemy sprowadzać tę dziewczynę. Nie potrzebowaliśmy do tego żadnych uzgodnień między sobą.

Marek zdecydował – ja zaakceptowałem to bez słowa, ale z pełną głową obaw i różnych wariantów dalszych działań. Wiele razy mówiłem mu o udzielaniu pomocy w górach. Czasem wydawało mi się, że go nudzę. Kiedyś nawet zbyt mnie jakimś żartem. Chyba jednak słuchał wtedy uważnie, bo działał teraz jak doświadczony wrypiarz.

Na naszej płasience można było czuć się zgoła bezpiecznie. Była wprawdzie mała, ale od powietrza oddzielała ją całkiem spora i stabilna wana. Dziewczyna siedziała skulona starając się patrzeć na skały. Jej wzrok wyraźnie uciekał od przestrzeni. A przy tak wspaniałej pogodzie widoki były tam przepiękne.

Zrobiliśmy długi popas. Zjedliśmy wszystkie nasze kanapki i jej czekoladę. Wypiliśmy niemal do końca herbatę z termosów. Zostało nam kilkanaście cukierków zapomnianych w różnych kieszeniach.

Dopiero wtedy nieco odprężyla się. Dowiedzieliśmy się, że ma na imię Maria. Podała nam swoje nazwisko, dała adres kwatery w Zakopanem i numer telefonu do rodziców. Bardzo się zdziwiła, że żaden z nas nie wybiera się wzywać pomocy TOPR-u.

Kiedy Marek rozbawiony oświadczył, że przecież razem zejdziemy bez żadnej pomocy, w jej oczach zgasł nikły uśmiech i znów pojawił się strach. Już myślałem, że to jednak przypadek beznadziejny, gdy Marek trafił w dziesiątkę.

– Tata, dawaj linę.

Zdjął swoją pętlę i wprawnie założył ją Marii. Z mojego plecaka wyjął dwadzieścia metrów liny półówkowej. Szybko zamotał na pętli ósemkę. Jej karabińczyk zostawił wolny i tym wzbudził moje uznanie. Jakby co będzie można dziewczynę dopiąć do jakiegoś żelastwa.

Założyłem półwyblinkę na swoim HMS – ie i wskazałem drogę. Była bardzo zdziwiona gdy kazaliśmy jej schodzić tyłem, ale prawie natychmiast doceniła zalety tego sposobu. Już po kilku krokach przestała ciągle spoglądać w moją stronę i zajęła się wyłącznie skałą. Marek szedł pierwszy i na początku ustawiał

nogi Marii przy każdym kroku. Ja siedziałem i wypuszczałem tylko tyle liny, aby móc zatrzymać każdy jej upadek, czy choćby potknięcie. W ten sposób ciągle czuła nieznaczny opór liny i pomocne ręce Marka. Trochę to trwało, bo lina była krótka i co chwilę musieli czekać aż ja zejść i wtedy ruszali oni. Siadając na kolejnych stanowiskach patrzyłem uważnie w oczy dziewczyny. Na początku była obawa i trochę strachu, potem strach uszedł a do obawy doszło skupienie. Z każdym etapem Maria szła coraz pewniej.

Kiedy wreszcie poczuła bezpieczeństwo płynące z lekko napiętej liny sama zaczęła odchyłać się i szukać stopni. Do odwagi samodzielnego poruszania się było jeszcze bardzo daleko, ale nie chwyciła się już łańcucha przy każdej możliwej okazji.

Chyba jej trochę imponowaliśmy poruszając się pewnie i bez strachu po wąskich ścieżkach. Marka to wyraźnie podniecało. Gdzieś w połowie drogi Maria poprosiła o chwilę odpoczynku. Usiedliśmy ssąc cukierki i wtedy rozgadała się, a z nią małowówny zwykle Marek. Postronny obserwator nie uwierzyłby, że poznaliśmy się dwie godziny temu.

Na Zawrat doszliśmy w niezłych humorach, głównie zresztą dlatego, że szlak wypląszczył się i Maria samodzielnie szła omotana pomarańczową liną jakby właśnie skończyła jakąś wspinaczkę. Tam znowu spotkaliśmy jej pierwotnych towarzyszy. Nawet się podnieśli na nasz widok, ale Marek zmiął w ustach jakieś chyba wyjątkowo stosowne na okoliczność bluźnierstwo, bo natychmiast zdmuchnęło ich w kierunku Piątki. Zrobił to tak elegancko, że idąc wolniej z Marią nie usłyszeliśmy detali.

Pierwotnie wybieraliśmy się aż na Kozę, ale ze zrozumiałych względów czas było schodzić w Gąsienicową. Jakoś bez żalu przyjąłem tę oczywistą korektę.

Było już sporo ludzi i Maria z pętlami liny w skos przez tułów wzbudzała w ceperstwie niemy zachwyty. Widocznie czuła te spojrzenia bo na łańcuchach zawratowych dalej oplątana zbyteczną już liną poruszała się może nie z gracją, ale z dobrze skrywaną ostrożnością.

Marek schodził pierwszy jakby nieco marudząc tak, że w każdej chwili był na odległość pół ręki od dziewczyny. Pewnie z tego powodu ani razu nie poprosiła o pomoc z góry. Z Marka była duma instruktora. Maria była pierwszą osobą, której on udzielał lekcji w górach. Skądś znam to wspaniałe uczucie.

Kiedy w Koziej Marek ogłosił koniec żelastwa, Maria z wyraźną ulgą oddała mi linę i rozgadała się na dobre. Wyraźnie opuściło ją napięcie kilku ostatnich godzin. Gadali zresztą obydwójce tak zawzięcie, że ciągle zatrzymując się i odwracając do siebie omal nie wpadli razem do Czarnego Stawu.

Obiad w Murowańcu zakończyliśmy wielkim piwem i Marek postanowił odprowadzić Marię do Zakopanego. Zrobiłem cokolwiek duże oczy, ale oni nawet tego nie dostrzegli. Było już dobrze po dziesiątej kiedy zmachany wrócił do schroniska.

Marię spotkaliśmy dwa dni później w Pięciu Stawach i odniosłem wrażenie, że tylko dla mnie była to niespodzianka. Chodziła z nami jeszcze przez cztery dni i doprawdy z dnia na dzień trudniej było dostrzec w niej „telegrafistkę” ze Swinicy.

.....
To wszystko działo się niespełna rok temu. Teraz siedziałem w kościele, a Marek z Marią właśnie składali przysięgę małżeńską. Nie wiem czy nie straciłem towarzysza tatrzańskich szlaków. Jeśli nawet, to przecież moje wnuki trzeba będzie nauczyć chodzenia po górach a nawet Marek nie zrobiłby tego lepiej ode mnie.